

Przegląd Wileński

TYGODNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY I LITERACKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.

Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 7000 mk.

1/2 " — 3500 "

1/4 " — 1800 "

1/8 " — 1000 "

Sejm Wileński.

Poruszona przez nas w zeszłym numerze sprawa wcielenia do państwa polskiego powiatów Lidzkiego i Brasławskiego stała się przedmiotem gorącej dyskusji w Sejmie Warszawskim i o mało nie doprowadziła do kryzysu państwowego.

Jak się okazuje, wbrew informacjom pism, nie było uchwały Sejmowej, inkorporującej rzeczne powiaty. Była tylko uchwała rozciągająca na nie administrację wojewódzką. Pod względem prawnym jest to oczywiście wielka różnica. Administrację wojewódzką może rząd polski wprowadzić również na terytorjach okupowanych i mimo to fakt okupacji nie podlega przekreśleniu.

Tak też rzeszoną uchwałę Sejmową rozumiał rząd polski, występując z wnioskiem rozszerzenia terenu wyborczego do Sejmu Wileńskiego na powiat Brasławski i część Lidzkiego.

Mimo kategorycznego sprzeciwu prawicy sejmowej, mimo szalonej agitacji w prasie i społeczeństwie polskim przeciwko „czwartemu rozbirowi”, wniosek ten uzyskał w Sejmie większość 13 głosów.

Dyskusja na ten temat w Sejmie i prasie obfitowała w charakterystyczne momenty, które musiały nasunąć przypuszczenie, iż sprawa owych dwóch powiatów jest tylko pretekstem do stoczenia generalnej bitwy między Naczelnikiem państwa i popierającymi go stronnictwami a opozycją, złożoną z szeregu ugrupowań, używających rozmaitych znaków firmowych, lecz stanowiących w gruncie rzeczy jeden zwarty obóz endecki.

Postronnemu bowiem obserwatorowi nie mogło się pomieścić w głowie, aby tak drobna i nie mająca zasadniczego znaczenia sprawa mogła do tego stopnia rozognić namiętności z obu stron, że o mało nie wywołała przesilenia rządowego, a nawet o mało nie spowodowała ustąpienia Naczelnika państwa.

Było zupełnie naturalnem, że rząd polski dążąc

do załatwienia kwestji Litwy Środkowej za pomocą wypowiedzenia się przedstawicielei jej ludności, musiał konsekwentnie nastawać na tem, aby to załatwienie nie było częściowem, lecz obejmowało całość spornego terytorjum.

Wychodząc z założenia, że zamierzone zwołanie Sejmu w Wilnie będzie miało walor na widowni międzynarodowej, rząd polski musiał także zdawać sprawę z tego, że uchwała Sejmu, rozciągająca na powiaty Lidzki i Brasławski administrację wojewódzką, ma tylko wartość dla niewyrobionych politycznie suwerenów warszawskich i że z punktu widzenia międzynarodowego żadnego znaczenia nie posiada.

Prezydent ministrów Ponikowski w swej deklaracji wyświecił i uzasadnił ten punkt widzenia gruntownie i niezbićie.

Natomiast argumentacja strony przeciwnej nie wytrzymywała żadnej krytyki. Deklaracja na temat dobrowolnego uszczuplenia obszaru państwowego, frazeologia demagogiczna potracająca o reminiscencje Targowicy — mogły być skutecznym środkiem do wywołania w tłumach wrogiego nastroju przeciwko Piłsudskiemu, jako inicjatorowi projektu, nie mogły być wszakże szczerym wyrazem istotnych poglądów prawicy sejmowej na sprawę przydzielenia dwóch powiatów do terenu wyborczego Litwy Środkowej.

Tyle razy ta sama właśnie endecja uroczyście zapewniała wszystkich, że orzeczenie przyszłego sejmu wileńskiego co do przynależności państwowej, żadnej wątpliwości nie ulega, iż wzmocnienie składu sejmu przez przedstawicielei powiatów Lidzkiego i Brasławskiego, powinno by być jej na rękę tylko, podnosząc autorytet sejmu na wewnątrz i na zewnątrz.

A może usposobienie ludności tych dwóch powiatów jest tak niepewne, że wpłynąć może na niepożądaną decyzję Sejmu Wileńskiego?

Ale z tem przypuszczeniem w sprzeczności stoi oświadczenie posłów i publicystów endeckich, że ludność wydzielonych powiatów jest tak patrijotycz-

nie i państwowo usposobiona; że z otwartą niechęcią przyjmie uchwałę sejmową o udzieleniu jej możliwości brania udziału w wyborach do Sejmu Wileńskiego i kto wie, czy nawet przeciwko takiemu przywilejowi nie zaprotestuje.

Więc: albo pewność co do zachowania się Sejmu Wileńskiego nie jest tak murowaną, jak by można było sądzić z głosów prasy endeckiej albo hałas wszczęty dokoła sprawy wydzielenia dwóch powiatów jest sztuczny i ma inny podkład, niż rzeczona troska o całość Rzeczypospolitej.

To ostatnie jest bodaj prawdopodobniejsze. Tak czy owak wszakże uchwała Sejmu Warszawskiego zapadła już i obecnie stoimy wobec faktu, że wybory do Sejmu Wileńskiego odbędą się z terenu rozszerzonego. Jednakże nie z całego terytorjum, zakreślonego linią traktatu litewsko-bolszewickiego z d. 12 lipca, gdyż części powiatów Lidzkiego, Grodzieńskiego i Wołczyńskiego, wchodzące w obręb tego terytorjum, zostały we wniosku rządowym pominięte. Co do powiatów Wołczyńskiego i Lidzkiego nie dowiedzieliśmy się całkiem, na jakiej podstawie to się stało, natomiast co do skrawka pow. Grodzieńskiego p. Ponikowski w swoim exposé otwarcie oświadczył, że państwo polskie nie może wystawiać go na ryzyko, bowiem jest on niezbędny jako przedpole twierdzy Grodzieńskiej, przyczem powołał się na opinię czynników międzynarodowych, które Grodno z góry przyznały już Rzeczypospolitej Polskiej.

Według krążących w kołach politycznych wersji pominięcie wymienionych obszarów nastąpiło na wyraźne życzenie Francji, która zakresliła taką własnie, a nie inną granicę strategiczną dla państwa polskiego. Ile w tem prawdy — trudno osądzić, ma ona

jednakże wszelkie cechy prawdopodobieństwa, inaczej nie daje się wytłómaczyć połowiczność wniosku rządowego.

Wogóle nacisk czynników międzynarodowych na rząd polski w tej sprawie, sądząc z rozmaitych półsłówek i napomknien, odegrał rolę decydującą. Szeroko o tych czynnikach rozpisał się warszawski „Nasz Kurjer”, podając ciekawe szczegóły w artykule „Za kulisami kwestji wileńskiej”. Czytamy tam między innymi:

„Wielką przysługę wyświadczył Polsce znany humanista i żydofil lord Balfour, który wbrew swej reakcyjnej młodości, na starość (liczy lat 75) stał się liberałem, pacyfistą i rzecznikiem sprawiedliwości. Wobec Balfoura, Polska ma jednak moralne zobowiązanie zafawienia spraw narodowościowych w duchu wolności i prawa (a więc sprawy wileńskiej, wschodnio-galicjijskiej, wogóle kresowej no i. żydowskiej). Nieliczenie się z Angliją wobec zapadłej już uchwały w sprawie śląskiej byłoby krótkowzrocznością, bo uchwała jest nader giętka i można ją rozmaicie tłumaczyć przy wykonaniu. Na pierwszym tedy planie stoi sprawa wileńska. Wobec niemożności urządzenia konsultacji absolutnie obiektywnej, aljanci dali Polsce do zrozumienia, że jeśli urządzi plebiscyt faktycznie bezstronny, choć bez usunięcia swej administracji, to nie jest wykluczonem, że o będzie zaakceptowane. Dać Polsce formalnie komisji kontrolującej Ententa nie może, bo tem samem musiałaby zaakceptować rezultat. Ale będzie ona miała w tym kraju cichych kontrolerów, z których jednym już jest pułk. Chardigny, tak, że gdyby władzy wpadło na myśl wywieranie nacisku, to popsułaby Polsce całą sprawę.

W tych warunkach pierwszą koniecznością jest rozszerzenie obszaru wyborczego.

Plebiscyt ma być urządzony przez Polskę w ten sposób, że odwołany będzie gen. Żeligowski, a na jego miejsce mianowany p. Meysztowicz. Również usunięte mają być z wojska żywioty pozamiejscowe. Wybory do odnośnego Sejmu przeprowadzi administracja obecna

H. ROMER-OCHENKOWSKA.

A ono powiedziało swoje.

Na wzgórk, hen za wioską, przysiadła w dołku między lasem a drogą, na tle szafirowego, jesienno nieba, ukazali się trzej jeźdźcy.

Wyrośli tak nagle na panoramie krajobrazu, jakby ich wyrzuciła z siebie gliniasta wyrwa, lub sen nieprawdopodobny zarysował przed oczyma zamkniętymi na świat rzeczywistości. Nie robili wrażenia jawy, ani zdarzenia wchodzącego w bieg życia mieszkańców wioski. Byli czemś, czego tu nigdy nie było i z czem nie istniała żadna analogja w otoczeniu.

Wszystko wkoło bowiem tchnęło sennym leniwym a pogodnym spokojem; malowniczym rozmazaniem borów, owitych leciuchną przezroczystą mgłą, roztopiającą się już w ciepłym złocie słońca, objęta była wieś szara. Cały widnokrąg mienił się kolorowym lasem, ledwie tkniętym palcem jesieni, która poznała sobie tu i tam drogę w gąszczach, bukiętami purpury klonów i złotych osik; zaledwie rdzą musnęła dęby i chłodem rannych ros zwinęła mięk-

kie liście leszczyny, poczepiała bure bruzdy pól śnieżnymi nićmi pajęczyn, a na ścierniskach utkała z nich sobie tęczy kobierzec, grający blaskiem kropli wodnych, jak klejnotami.

Malutkie, kręte, szmaragdowe łączki, podmokłe w zagłębieniach błękitna, jak odbite w niej niebo — wodą, biegały w odwiecznym bezsensie i bezładzie rozmiarów, pomiędzy rudą rolą, rżniętą w wąskie sznury, przerastała obficie kamieniem i po której jak różańce znojnych, a bezmyślnych trudów, pełży wysokie garby miedz, zarosłych puchowemi badyłami, wysuniętem z pomiędzy spiętrzeń siwych kamieni.

Wioska nie robiła tu wrażenia czegoś sztucznego, umyślnem mądrego człeka narzuconego naturze.

Zdawało się, że istniała tu od wieków, że tylko w takie oto, inne, niż w lesie kształty, ułożyły się pnie w pobliżu, że mech zielony rozłożył się jeno trochę wyżej, niż pod konarami świerków i sosen, a chrusty, łapy jedlinowe i sęki splotły się koło krzaków malin i zdziczałych jabłoni tak luźnie i nie symetrycznie, jakby je spletał nacisk śniegów lub wichru. Olbrzymie głazy, zatoczone pod przyżby niskich chat, ułożone w st pnie do nich wiodące, zdawały się też samoistnie tu wyrosłe, tak fantastyczne było ich rozmieszczenie.

pod cichą kontrolą delegatów aljanckich. Nie jest wykluczonem, że uczynione będą zarządzenia, dające jeszcze większą rękojmię bezstronności.

Co się tyczy Białorusinów i Żydów, to przy rozszerzonym terenie zaważą oni na szali. O tem, ażeby Ententa uznała wybory bez ich udziału niema mowy. Również niepodobieństwem jest dla Polski wygrać plebiscyt bez głosów białoruskich i żydowskich. Jeżeli więc Polska nie zechce popełnić samobójstwa, to będzie musiała zapoczątkować nowy, wolnościowy kurs w sprawie obcoplemieńców. W świetle tych informacji zrozumieliśmy się stąd, że Żydzi zmienili pierwotnie projektowane stanowisko i głosowali za projektem rządowym.

Z powyższej enuncjacji należy wnioskować, że udział Żydów a bodaj i Białorusinów w wyborach do Sejmu Wileńskiego, jest już przesądzony. Słyszeliśmy zresztą o tem tu na miejscu. Podobno powstrzymuje jeszcze od ostatecznej decyzji w sensie twierdzącym paragraf ordynacji wyborczej, udzielający prawa głosu wszystkim urzędnikom Litwy Środkowej, nawet tym, którzy dopiero od tygodnia po raz pierwszy w życiu zawitali do Wileńszczyzny. Wobec nie ogłoszenia jeszcze dekretu o zwołaniu Sejmu i nieznaney dokładnie ordynacji wyborczej stanowisko poszczególnych odłamów narodowościowych i ugrupowań politycznych dostatecznie się nie wyklarowało. Na ogół wreszcie daje się wyczuwać tendencja nie bojkotowania wyborów.

Z tego względu Sejm Wileński nabiera o wiele poważniejszego znaczenia, niż by to mogło się здаwać jeszcze przed miesiącem. W znacznym stopniu przyczynił się do tego rozgłos światowy, jaki sprawie Sejmu Wileńskiego nadało zachowanie się Sejmu Warszawskiego.

Perspektywy wyborcze.

Dobrze widocznie poinformowany korespondent tygodnika konserwatywnego „Polska” takie oto kreśli perspektywy wyborcze:

Obecnie można już snuć przewidywania na temat wyborów do Sejmu Wileńskiego. Dwie zasady federacyjna i inkorporacji ujawniły się dotychczas w walce o nazwę ciała, które miało powstać. Zwolennicy inkorporacji żądali „Zgromadzenia”, zwolennicy federacji „Sejmu”. Straż Kresowa, która w Wilnie stoi na stanowisku inkorporacji, a w Warszawie — federacji, proponowała nazwę Sejmu Orzekającego.

W dalszym ciągu spór o federację czy inkorporację wciela się w takie, lub inne pojmowanie tego, co Sejm zwołany do Wilna ma robić. Federaliści uważają, że Sejm będzie musiał wszcząć pertraktacje z politykami Litwy Kowieńskiej, w pertraktacjach tych wygrywając atut, że w każdej chwili może uchwalić przyłączenie organiczne do Polski. Stronnicy inkorporacji sądzą przeciwnie, że Sejm ograniczy swą rolę do powzięcia uchwały przyłączenia natychmiastowego do Polski.

Możliwości wyniku wyborów są następujące: W Wilnie poważną ilość kandydatów przeprowadzi „Związek obrony woli ludności należenia do Polski”. Jest to organizacja zaprzyjaźniona z „Ligą Robotniczą” założoną przed kilku laty przez ks. Mukkermana, jezuitę bawarskiego. „Liga Robotnicza” liczy swych czynnych członków na kilkanaście tysięcy, prowadzi pracę w duchu bardzo katolickim, ale bezpartyjnym. Sfery demokratyczno-narodowe zachowują wobec tych dwóch organizacyj neutralność, lecz chrześcijańska demokracja jest bądźco bądź instytucją konkurencyjną w stosunku do Ligi Robotniczej, wobec tego oczywiście istnieją pewne animozje między kierownikami Ligi a demokracją chrześcijańską.

Nie jest wykluczoną możliwością bloku narodoinkorporacyjnego na miasto Wilno. Weszłyby

Byliż inni ód otoczenia ludzie tam żyjący? Nie, zaiste. Odzież ich była siwo-bura jak rola, twarze odcieni ziemi ciemnej lub jaśniejszej, włosy płowe jak lny, złote jak ściernie lub srebrne jak pajęczyny, oczy błękitem nieba lub jasnością wód, jak one spokojnie patrzyły, wiedząc, że ód urodzenia do śmierci, te same oglądać będą rzeczy.

Ten cały światek, wytwór samoistny, jakby wynuty ód najpierwotniejszych istnień okolicy, i ód niej tylko zależny, miał w swym pozornym bezładzie harmonję i pociągającą malowniczość kaprysów natury i objawów instynktu, zbytecznego już w świecie cywilizowanym.

Nie było tu nic symetrycznego, nic obliczonego, nic „na swoim miejscu” według pojęć praktycznych, ale każda żyjąca tam istota miała swą wodę do picia i swoje ziarno do zebrania, jak ptak w borze i mysz polna.

Wonny smołą, ciepły, niebieskawo-opalowy, snuł się wstążką dymek ze spróchniałych sęków, u skraju pola ułożonych w ognisko, a wśród nich, w błyskającym czerwonym okiem żarze, piekły się kuliste „kulby”, pożądliwie wyciągane z pośród węgli przez zziębnięte dzieciaki, grzejące zsiniałe nogi w popiele, a plecy na słońcu.

Kudłate „wilczuki”, psy ód wyglądzie dzikim

i przeraźliwym głose, rozchodzącym się aż echo w boru odszczekiwało przeciągle, oraz ód miejsca do miejsca kosołapy konina z ogonem do ziemi i grzywą, pełną dziadów, a brzuchem niepomiernie wzdętym, ciągnący za sobą na sznurach sprzęt pierwotny, złożony z drzewa i trochy żelaza — oto wszystko, co zamknięte niedostępną zda się ścianą lasów, spięte klamrą kępiastych mszarów, odgródzone ód świata, światem całym było dla siebie.

Jeźdźcy, wdarłszy się ostrym pędem swych sadzących w szczupakach koni na wzgórze, roztrącili, przedarli, zda się, niewidzialną powłokę, okrywającą cały krajobraz pogodą i ciszą. Wstrzymali się chwilę, spętani nieuświadomionem wrażeniem, że wpadli w jakąś głąb, która ich pochłonie.

Ze są ód wszystkiego, co jest ich właściwością, tak daleko, iż odosobnienie to pomniejsza ich siły i znihiluje ich potęgę.

Przez błysk sekundy przewinęło się pytanie: po co tu są? tak nie naturalnem wydało się ich zjawienie.

Wnet jednak runęli wąską drożyną, krzesząc iskry z kamieni zgrzytających pod podkowami koni i dopadli wioski.

U wrót i skraju pola stanęli.

Cisza nastala tak zupełna, że slychać bylo lekkie

wtedy do niego następujące organizacje: Związek obrony i Liga Robotnicza, Demokracja Chrześcijańska i Narodowa wreszcie Straż Kresowa. W razie gdyby blok ten nie doszedł do skutku, możliwy jest jeszcze blok Straży Kresowej ze Związkiem obrony.

Poza miastem jakiegokolwiek zbliżenie „Straży Kresowej” z Narodowymi Demokratami jest wykluczone. „Straż” reprezentuje radykalną politykę agrarna. N. D. pod tym względem opiera się na sferach umiarkowanych. „Związek obrony” nie posiada żadnych wpływów po wsiach i miasteczkach i nie stara się nawet zaszczyć tam swojej działalności. Straż Kresowa zwycięży zapewne w powiecie Oszmiańskim, Demokracja Narodowa przeprowadzi swych posłów potrochu wszędzie; ale posiada silną placówkę w postaci byłego powiatu Trockiego, obecnie włączonego administracyjnie do powiatu Wileńskiego.

Tak się przedstawiają widoki obozu inkorporacyjnego, z tem jednak zastrzeżeniem, że „Straż Kresowa” jakkolwiek w Wilnie głośno afiszuje swą inkorporacyjność, — nie posiada poglądów ustalonych. Centrala tejże „Straży”, mająca swą siedzibę w Warszawie również wyraźnie głosi zasadę federacji.

W obozie federacyjnym są zgrupowane następujące stronnictwa: Demokraci, „Odrodzenie” i Piast wileński.

Demokraci mający dawne tradycje na gruncie wileńskim są sztabem bez armji, kandydatami na posłów bez wyborców. Grupa „Odrodzenie”, która znów cierpi na brak inteligencji w sposób dotkliwy i to brak inteligencji w obu pojęciach tego słowa, zarówno materiału ludzkiego, jak abstrakcyjno-psychicznym, — zwracała się do Demokratów z propozycją wstąpienia do stronnictwa „Odrodzenia”. Demokraci odmówili, ale tem niemniej będą kandydowali na listach tego stronnictwa.

„Odrodzenie” jest grupą skrajnie radykalną, ludową, opierającą się na chłopstwie ciemnym i narodowo nieświadomym. Pewne szanse posiada w powiecie Święciańskim.

Stronnictwo ludowe ziemi Wileńskiej ma nieco

inny wygląd niż Piast w Małopolsce. Członkami jego są przeważnie inteligenci, którzy weszli tu dlatego, że są zwolennikami federacyjnej polityki czynników międzynarodowych w Warszawie, a do „Straży Kresowej” zrażała ich abstrakcyjność i pozakrajowość tej organizacji. (Wśród całej organizacji „Straży Kresowej” niema bowiem ani jednego wybitnego działacza, któryby pochodził z krajów zabranych, stąd „Straż Kresowa” wykazuje czasami brak znajomości stosunków miejscowych). Piast wileński posiada poparcie bogatszej sfery włościańskiej, zwłaszcza w Święciańskim i napewno przeprowadzi, mimo swej politycznej na gruncie wileńskim młodości, poważną ilość kandydatów.

Zwolennicy federacji o poglądach konserwatywnych nie są zgrupowani w żadną partję. Zjawisko to tłumaczy się chyba tem tylko, że idea federacji jest b. popularną wśród ziemian mińskich i kowieńskich, natomiast szlachta wileńska przeważnie opowiada się za inkorporacją.

Jaki będzie wynik wyborów na terenie do Litwy Środkowej przyłączonym, — niewiadomo, lecz napewno wpłynie on na zwiększenie szans grupy „Odrodzenia”, a nawet Komitetu Białoruskiego, jeżeli ten ostatni zechce wziąć udział w wyborach.

Zadania publicystyki polskiej w Wilnie.

Tytuł powyższy łatwo może ściągnąć na autora artykułu niniejszego podejrzenia niesłuszne, że chciałby on widzieć prasę codzienną w Wilnie, zatrudnioną jedynie moralizowaniem ogółu i spełnianiem innych *par excellence* pedagogicznych zadań. Mimo cały respekt należny dla pedagogiki społecznej, piszący nie ważyłby się jednak żądać tego od prasy, owszem uważałby podobną tendencję za duże krępowanie jej i wyrządzanie szkody na właściwym dlań terenie, boć inna rzecz szkoła, a inna prasa. Ale

podzwanianie wędzidla przesuwanego spienionym pyskiem końskim i daleko, tęskną, a melodyjną trąbę pastuszą.

Ludźle wojskowi zastygli bez ruchu.

Jak nakazem czaru zakłęte, stały gromady tam, gdzie je widok nieopisany, niewidziany, zastał i strachem zlodowacił.

Najgłębsze, najboleśniejsze przerażenie zupełnej niewiedzy tego, co się dzieje, obłąkało im oczy, zjeżyło włosy i chłodem śmierci pierś tłoczyło.

W tej chwili jeden z koni, cudny dwuletni zrebak skarogniady, parsknął płatami piany, dźwignął się lekko w górę i bijąc smukłymi nogami powietrze, zarżał. Zawodzenie rozpachy, lament ostrzegawczy i bunt był w tym głosie przeraźliwym, był w nim krzyk o ratunek, skarga na krzywdę i tęsknota za rodzinną stajnią, z której go przed kilku godzinami ze snu porwano.

Z nieznanego wędzidla, miękkiego, jak szary atlas pyska, pryskała różowa piana, rzucające się skrętami wstrętu boki były zmydlone, ciekły z nich cienkie strużki krwi od cięć szpicrutą i pchnięć ostróg.

Ścigany munsztukiem przez jeźdźca, opadł, chrapiąc, i stał drżący, błyskając wystraszonemi oczyma.

Jeźdźcy zsiadli opodał malutkiego sadu, który

gałęzie swych zdziczałych drzew owocowych zwieszał aż na drogie; uwiązali konie u wrót, długie łańce wbili zgodnym ruchem w rząd i z ręcznych worków z nieprzemakalnego płótna, szybko wydobytych i rozwiniętych z chrzęstem, zaczęli karmić konie.

Jeden z żołnierzy posunął się kilka kroków i jął glosem i ruchami przyzywać do siebie ludzi.

Długa upłynęła chwila, nim się poruszyli i to wszyscy razem — nikt nie chciał być na przedzie i posuwając się powoli, wciąż jedni kryli się za drugich, co widząc wojskowy, ruszył wielkimi krokami ku nim.

Nie na wiele się to przydało.

Nikt nikogo nie rozumiał, a przerażenie tak odbierało przytomność, że gestów też nikt nie pojmował.

Wreszcie żołnierz przysiadł do ziemi i zagdakał, jak kura, znosząca jajko, poczem włożył palce w zęby i naśladował ruchy szczęk jedzącego.

Ostupienie ogarnęło wieśniaków, potem nagle buchnęło parę nerwowych śmiechów.

Komedja! Jeść chce, pokazuje że jaj, więcej nic. I to pokazał tak, że odrazu każdy zrozumiał! Ach, zamorski ten naród, mądry! Co dziwnego że aż tam zalał, gdzie go nikt zrozumieć nie może, kiedy i tak da rady. Baby rozbiegły się po chatach, reszta

pełniąc funkcje informacyjne, dopomagając do wyświetlenia różnych faktów z życia zbiorowego i ułatwiając należyte spożytkowanie materiału surowego, obficie podawanego z dnia na dzień przez agencje i wypadki dnia, publicystyka niewątpliwie się styka z pedagogiką i niejako ją uzupełnia. Nie mówiąc już o tych, którzy ze szpalt prasy codziennej i tygodników dopiero się uczą geografji, a ponieważ też historii (retrospektywnie t. j. ze skutków'o przyczynach), właśnie stan świata współczesny, a nawet położenie w kraju własnym, poznajemy, poza teorią szkolną i osobistym kontaktem w podróży, z prasy, i ona naogół nieświadomie imputuje nam więcej poglądów, niż my przypuszczamy, posługując się niemi codziennie.

Wobec tego publicystyka, chociażby sama do tego się nie poczuwała, zawsze jest odpowiedzialną lub, w najlepszym razie, współodpowiedzialną za puszczane przez się w obieg codzienny poglądy, sądy, za obudzone lub stłumione uczucia, godne lub naganne. Jest to dydaktyzm, tak związany ściśle z publicystyką, że odłączyć się od niej nie da. Uświadczenie tego niewątpliwego faktu jest obowiązkiem każdej uczciwej publicystyki, która też odpowiednio wysoko, w przyszły świat prawdy, dobra i piękna, ma sięgać swemi aspiracjami.

Przechodząc zaś specjalnie do publicystyki polskiej w Wilnie, mamy chyba prawo spodziewać się, że ona, potrafi wydobyc z ideologii polskiej to, co jest w niej najlepszego, a nie naśladować obcych, najgorszych właśnie wzorów.

Zadania publicystyki polskiej w Wilnie podzieliłibyśmy na negatywne i pozytywne. Jeśli mowa o chwili obecnej, to do pierwszej kategorii należałoby przedewszystkiem zaliczyć: 1) *Niczego nie budować na nienawiści*, jaką żyje ogół wileński. (Zgoła za zbyt czyste uważalibyśmy udawadniać takie prawdy oczywiste, jak niedopuszczalność tyle typowego dla Wilna *samookreślenia przez nienawiść* w rodzaju: kto nienawidzi Litwinów i Żydów, jest dobrym Polakiem; kto za nieboskie stworzenia uważa prawo-

stawnych, jest dobrym katolikiem). 2) Nie wszczać całkiem błędnego pojęcia o tem, jakoby w naszym kraju mieszanym jakaś jedna narodowość mogła być panującą, a nie współpracującą dla dobra ogółu. 3) Nie wmawiać temu ogółowi, że może być trwałym u nas taki stan rzeczy, gdy jakaś jedna grupa narodowościowa w kraju pozbawioną będzie wszelkich możliwości rozwoju. 4) Nie pogardzać przeciwnikiem, lecz starać się zrozumieć go. Są oczywiście inne jeszcze zadania negatywne publicystyki polskiej w Wilnie, główniejsze jednak mniej lub więcej pokrywają się z temi.

Zostaje tedy podkreślić zadania jej pozytywne, temat wdzięczniejszy, bo tu nie *minimum* uczciwości już, lecz to, czem duch polski bogaty, ma być ujawnione. Tu właśnie miejsce na spełnienie szczytnych posłannictw, które niewątpliwie społeczeństwo polskie mogłoby spełnić, jeśliby umiało i chciało przewyciężyć w sobie ów przekłety ekstrakt dziejowy, jaki dziś, w postaci jadu endeckiego, krąży po zdrowym jeszcze organizmie narodu. Myśl polska winna służyć zdrowej idei związku i współpracy wolnych a równych narodów. Idea ta jest nie tylko zdrową, lecz i nowożytną: ludzkość powoli się zbliża do chwili, gdy wielki związek i jedna wielka kooperacja narodów pokryją świat cały, ze wszystkimi ich rogatkami i kopcami granicznymi, egoistycznymi sferami wpływów i obłudnymi w istocie protektoratami. Pracując nad realizacją takiego zadania, myśl polska stałaby się twórczą i postępową.

Pozytywnem zadaniem publicystyki polskiej w Wilnie, również być winno zrozumienie *w całej* rozciągłości bolesnego a niepozbawionego pewnych wstrząśnień, procesu odrodzieńczego narodów młodszych. Niestety nasza prasa endecka właśnie prowadzi u nas pod tym względem politykę wbijania drzazg w ciało, przebywających dziś nieraz gorączkę nacjonalistyczną, odradzających się narodów i tem tylko przedłuża ich stan zapalny. Myśl polska u nas w stosunku do tych narodów winna bezwzględnie zajmować stanowisko, że tak powiemy, ewolu-

patrzała bez słów; w sennych mózгах ciężła, wbijała się coraz jaśniejsza, coraz większa pewność, przyjmowana z rezygnacją fatalizmu, jakiegoś końca, kresu własnej świadomości i woli, a zagarnięcia przez moc niepojętą, nieznaną i tem straszniejszą. Jakiegoś takiego znicestwienia własnej osobowości, jaką by chyba mógł czuć trup, gdyby mu została możliwość zdawania sobie sprawy czem jest.

Wojna!... Więc doszła!... Więc to już ona!...

Wiedzieli, jak wygląda gradowa chmura, gdy toczy się żółto-bura po zczerniałem niebie, by zniszczyć plony; wiedzieli, jak wybucha, syczy i tańczy po strzechach płomień pożaru, pamiętali, jak trzeszczą stare ściany od wichru, burzą rozpetanego, co najstarsze drzewa w lesie skręca, jak wiechy żyta, wiedzieli, jak siną czerwonocią rozpala ciała tyfus — gorączka na wiosnę i jak zielenieją twarze umierających dzieci w epoce niedojrzałych owoców.

Wszystko to były sprawy tysiąc razy zdarzone, powtarzane przez Boga, jak pory roku, przez ludzi przeżyte, jak one, mające swój znany przebieg i przez to obojętnie brane poza nawias normalnego płynięcia życia.

Teraz zaś było nad nimi, było w nich to o czem słyszeli tak, jak się słucha o tamtym świecie, o sędzie ostatecznym, o otchłani. Zdawało im się, jakby wszyscy pomarli i niczem już nie są, tylko w rękę

Boga, czy szatana?... Nie wiedzieli nic, tylko to jedno że nagle, jakby ich już nie było na ziemi... Że wszystko, co się stanie ze wszystkimi, i z nimi, to już będzie nie życie, ani może zaraz śmierć, ale coś, co Bóg zesłał na świat, by zmienić jego porządek i sens, a na to trzeba, by wszystko strzęsło się w jakimś niepomysłanym chaosie, z którego ręka Wszechmocnego znów wyprowadzi nową budowę.

Ale znicestwienie dotychczasowego ładu, to teraz tego oni muszą być świadkami, dać się zmiażdżyć w tym łoskocie zdarzeń. To oto są majstrowie, przybyli piorunowym rozkazem losu, a oni materialem... Byli już własnością wojny.

Wojskowi weszli w sad i siedli na pniakach. Jeden zajął do chaty, schyliwszy się u niskich drzwi, ale wyszedł wnet, spluwając.

Gromada wiejska powolnemi ruchami otoczyła siedzących. Przyglądali się sobie zdaleka i robili wzajemne uwagi, z taką swobodą, jakby mówili w obecności głuchych, lub przy innego gatunku istotach. Każde poruszenie, każda część skomplikowanego umundurowania żołnierzy, była przedmiotem podziwu i uwag.

Wiele szczegółów stanowiło niepojętą zagadkę, przyniosła je bowiem wojna w te ciche bory z miejsc tak różnych od tej doliny, jak różną jest żelazno

cyjne. Boć trudno, jak to często bywa, zapowiadać z góry: temu a temu narodowi wyznaczamy tylko takie a takie ramki bytowania w przyszłości, lecz dalej ani rusz! Takie stanowisko doprawdy wygląda na drwiny. Któż może to wiedzieć, *gdzie* mianowicie zatrzyma się naród raz obudzony ze snu wiekowego? Zresztą czyż można żywym istotom, — a do nich przecie należy naród, — zakreślać jakieś granice jego *organicznego* wzrostu i rozwoju?! Precz z tą dziką myślą!

W końcu być może należałoby zadać pytanie, czy i o ile służy publicystyka polska w Wilnie powyższym zadaniom, ale odpowiedź musiałaby wypaść niestety całkowicie ujemnie. Słabe i wahające się odchylenia niektórych organów polskich od linii endeckiej ujmowania spraw krajowych, nie są w stanie zmienić wrażenia ogólnego.

A tak chciałoby się widzieć co innego!
Wat.

Wątpliwy sukces.

Prawie jednogłośnie prasa polska uznała świeżo zawartą w Pradze przez p. Skirmunta umowę polsko-czeską, za znaczny sukces polityki polskiej. Przyszłość oczywiście wypowie ostatnie słowo co do trafności tego kroku. Dziś chcemy poruszyć to, jak akt powyższy przedstawia się w płaszczyźnie zagadnień narodowościowych, posiadających aktualność — wbrew mniemaniom wielu — nieprzemijającą.

Nasamprzód wypada tu zaznaczyć, że umowa praska wyraźnie przechodzi do porządku dziennego nad kwestją słowacką i ukraińską. Cóż bowiem widzimy? Oto Warszawa i Praga, ponad głową narodu słowackiego, który się budzi teraz do bytu niezależnego, wyciągają ku sobie nawzajem dłonie, by odtąd, przy układzie spraw wszelkich, nie liczyć się faktycznie z uświadomieniem i aspiracjami masy ludo-

wej na Słowaczyźnie. Trudno zrobić stąd zarzut jakiś Czechom, boć oni nie od wczoraj zajmowali stanowisko negujące względem postulatów słowackich. Praga tedy, kładąc podpis pod umową z Warszawą, działała konsekwentnie z raz obraną linią swej polityki wewnętrznej, czego jednak żadną miarą nie można powiedzieć o Polsce.

Któż nie pamięta, jak przed półrokiem mniej więcej, rząd, sejm i społeczeństwo w Polsce zajęły nadzwyczaj przychylnie stanowisko względem Słowaków, akurat wtedy usiłujących z zapałem wysunąć swą sprawę na forum Europy? Ileż to uwagi wówczas poświęcono osobie i podróży ks. Hlinki, znanego pioniera ruchu słowackiego? Jak gromko brzmiały głosy prasy, nie dającej się prześcignąć nawzajem w udowodnieniu wiekowej krzywdy Słowaków ze strony Czechów i sposobnej dziś chwili dla jej naprawienia? Wiadomość o utworzeniu się narodowego rządu słowackiego w Ameryce przyjęta została z żywą radością w całej Polsce.

Mija pół roku zaledwie i — też same czynniki w Polsce cieszą się z umowy, mocą której Słowacja będzie wydana na łaskę i niełaskę Czechów! Gdzież są tedy oświadczenia, obietnice, głosy oburzenia, zapewnienia? Śladu ich dziś nie znajdziesz. Wolno więc zapytać: może Słowacja zajęła wrogą względem Polski pozycję, poczęła jej szkodzić i t. d.? Nic z tego. Stąd jest jasnym, że cała zmiana jest typowem posunięciem politycznym, dla którego *nie* istnieją żadne inne względy oprócz interesu. Interes nakazał Polsce zadać tę bolesną ranę ufności, z jaką *mała* Słowacja garnęła się pod skrzydła *wielkiej* Polski.

Desintéressement znów Czech względem Galicji Wschodniej najzupełniej upoważniłoby nas do skierowania pod ich adresem analogicznych zarzutów, gdyby można było wierzyć w szczerść Czechów pod tym względem. Uzyskać wolną rękę dla siebie na Słowaczyźnie — dlaczego *nie*? — to dobry interes, natomiast wyrzec się faktycznie swego głosu w sprawie ukraińskiej i jej rozwiązaniu, wydaje się z ich strony zgola nieprawdopodobnym. O wiele wcześniej,

kamienna fabryka, tęskniąca harkotem maszyn, owiana zaduchem czarnego dymu, od tych szumiących cicho drzew wóńnych rosą, rosnących spokojnie pod czystym sklepieniem niebios.

Wojskowi drzemali, prócz jednego.

Ten, starszy ranga, o szczupłej twarzy inteligent w okularach, patrzył na mapę rozłożoną na kolanach i rozglądał się w koło w dal; chwilami używał do tego lornetki polowej, a ile razy przykładał jej lufy do oczu, najbliższy stojący cofali się z lekka, jakby bojąc się znaleźć w jej promieniu.

W pewnej chwili zauważył to patrzący i zdziwił się. W jego skomplikowanym mózgu cywilizowanego człowieka, ten odruch instynktu wzbudził jakąś strunę porozumienia między nim, a tamtymi pierwotnymi istotami. Przez chwilę, stłumiona ciągle służbą, podporządkowana jednemu zajęciu: spełnianiu ślepo rozkazów, obudziła się myśl wszystko obejmująca, przeniknęła w otoczenie i odczuła jego stan.

Zdumiał się nad przecuciem tych ludzi.

Uchylali się od szkieł daleko widzących z wyrazem strachu na twarzach, jakby ich piekło i kłut, promień rzucanego przez nie spojrzenia.

I mieli słusność tak właśnie czuć.

Szła te bowiem, spojrzenie apokaliptyczne okrągłych dużych oczu w czarnej oprawie, wybierały ofiarę.

Gdzie się zatrzymały, być może, jutro, za parę dni, zostaną tylko zgliszcza.

Spojrzenia te kładły się na horyzont niewidzialnie, ale nieodwołalnie; tak niewidzialnie, jak śmierć, gdy zbliża się do łupu, i równie nieublagalnie.

Poczuł, że rozumieją w koło niego, jakie jest jego tu znaczenie; napelniło go to wielką dumą. Rozrosło się w nim uczucie potęgi nieludzkiej, bo dzierżącej los nietylko ludzi, ale całego krajobrazu, i wzięło górę nad potwornym zmęczeniem, dzwoniącym w uszach. Nie pamiętał kiedy spał, nie pamiętał kim był; ani swego życia dawniejszego, ani stosunku swego do ludzi, ani żadnego pojęcia z tych, co się w normalnych czasach wciąż obijają o uszy, nie wiedział już nic, nawet tego, że jest człowiekiem. Jedynie świadomość przynależności do olbrzymiej potęgi wojny pozostała i kierowała jego ruchami; jej prawa nim rządziły, jej wola sumieniem i rozumem kierowała; była silniejszą od wszystkiego i każdy, kto stanowił jej składową cząstkę, był też silniejszy od wszystkiego, nad czem się ona unosiła. Od życia — bo je niszczył, od śmierci — bo ją dawał.

I to, co dawniej było przywilejem lub zbrodnią wyjątkowych istot, teraz było podstawową czynnością potwornego organizmu, którego to było funkcją, niby oddychanie i trawienie.

niż powstało dzisiejsze państwo Czecho-słowackie, Czesi najwyraźniej rozpoczęli grę, zmierzającą do zajęcia w Słowiańszczyźnie stanowiska wybitnego, zlekka rywalizując z Rosją. Dziś Rosja, zostająca pod jarzmem bolszewickim, nie może uprawiać polityki słowiańskiej, w Polsce zaś, jak zwykle, dzięki przyczynom historycznym, zagadnienia słowiańskie budzą nadzwyczaj małe zainteresowanie, zostają tedy Czechy, które oceniając wytworzoną sytuację, jawnie chcą zająć dziś na świecie miejsce niejako przodowniczkę myśli słowiańskiej.

Można oczywiście spierać się o to, czy pobudki ideowe, czy też materialne, grają tu większą rolę, ale gra Czechów wydaje się dość przejrzystą. Czechy obecnie są siedliskiem uniwersytetu ukraińskiego, popierają niedwuznacznie ruch białoruski, są wciąż rusofilami i t. d. Mielizby oni naraz zawrócić z tej drogi? Stać się wiernymi sojusznikami Polski? Zbyt daleko zaawansowana jest Czechosłowacja w polityce ukraińskiej, by dziś zechciała się wycofać z niej. Jeśli zaś tak jest, to ogromnie się redukuje wartość dla Polski umowy praskiej.

Jadźwing.

Większość i mniejszość.

Chociaż przyjęto w obecnym ustroju demokratycznym sprawy publiczne rozstrzygać większością głosów, zdajemy sobie wszyscy sprawę, że nie jest to zasada bezwzględnie słuszna.

W ostatnich czasach coraz więcej się mówi o prawach mniejszości. I w miarę, jak rośnie kultura obywatelska, ujawnia się w społeczeństwie dążenie, by nawet najmniej liczna mniejszość mogła tak lub inaczej wypowiedzieć się. W pewnej tylko mierze temu celowi służy proporcjonalne przedstawicielstwo ciał, powstałych z wyboru. Przeciwnie, gdzie kultura obywatelska stoi na niższym poziomie, gdzie ustroj bardziej jest zacofanym w swych formach prawnych, obyczajowych i t. d., tam z więk-

szą bezwzględnością występują absolutne a brutalne rządy większości, tam mniejszość jest i czuje się bardziej zduszona.

Idealniejsze jednostki wszędzie i zawsze uważały i uważają, że sam fakt większości nie daje jeszcze tytułu i gwarancji posiadania prawdy lub słuszności. Jeśli zdanie mniejszości winno być branem w rachubę krytycznie, to bodaj z większą krytyką należy oceniać każdy krok na drodze decyzji powzięty przez większość! Zawsze godzi się w tym wypadku zadać pytanie: jaką drogą doszło do tej niwelacji sądu ogółu? Co przeważało tu: interes, zaufanie, chęć pozbycia się jakiejś kwestji?... Sięgając po analogję do geografji, większość możemy przyrównać do nizin, mniejszość do gór. Rzecz pewna, równin jest na ziemi więcej, ale zato z gór otwierają się widnokreśli dalsze.

Przytoczymy tu piękne zdanie Szyllera: „Większość głosów nie jest dowodem słuszności. W miarę zmiany upodobania, wznosi się lub opada zmienna fala decyzji. Cóż jest większość? Większość to nierozum, bo rozum był zawsze udziałem tylko nielicznych. *Należałoby głosy ważyć, a nie liczyć*“. Właściwie mówiąc, Szyller stwierdza tu znany skądinąd fakt, że tłumem miotają namiętności, porywy i instynkty stadowe. Wszelki tłum jest wrogiem zasadniczym wybitnych, a silnych indywidualności i zdradza, jak mówiliśmy wyżej, tendencję niwelującą. To znaczy, że kosztem ich przygniecenia wytwarza nową, często wątpliwą wartość: opinię większości, którą nie waha się ogłaszać potem za autorytet najwyższy. Większość musi zrezygnować z czystego kultu rozumu i prawdy i, zamiast ofiary niepokalanej a całościowej rycerskiego służenia Prawdzie, zwykła składać jej tylko cząstkę z siebie, dbając o zachowanie reszty na ofiarę dla bóstwa domowego: Świętego Egoizmu.

Zresztą kult większości jest fragmentem panującego się jeszcze mocno wśród ludzkości kultu siły materialnej i lekceważenia siły moralnej.

„Należałoby głosy ważyć, a nie liczyć“.

Sonderling.

To też bez uczuć ludzkich spoglądał obcy, daleki wojownik, na otoczenie. Wiedział, że zapewne po kilku dniach śladu nie zostanie z tych chat i gajów, a może i tych ludzi, ale nie czuł za to odpowiedzialności lub żalu, tak jakby będąc np. składową częścią ognia czy piorunu nie czuł nic prócz tego, że palić musi. Czuł nawet poniekąd dumę z tego powodu. Było to bowiem wzniesienie się ponad ludzkie, spokojne czajenie się katastrofy niczem nie wstrzymanej, pewnej siebie, przetwarzającej porządek wszechświata i z powodu ogromu rozmiarów, nie odpowiedzialnej.

Spoglądał więc w błękitną i złotą dal jesienno poranku, chłodził szumiącą z bezsenności głowę i jadł machinalnie przyniesiony posiłek.

Dwaj żołnierze jedli też, pogadując i ziewając naprzemian. Konie chrupały owies, prócz żrebeca, który wciąż rżał histerycznie, zanosząc się jakby przeraźliwym łkaniem; sierść i grzywa jego były zjeżone, bił łbem o kolana, to znów zadzierał głowę, ciągnąc uwięź, i z wielkich jego, wysadzonych z orbit, szafirowych, łagodnych oczu, płynęły łzy, chrapy, nabiegłe purpurą, wyszukiwały w wolnej przestrzeni zapachu ulubionej zagrody i dygotały od stękania, wydzierającego się z głębi piersi.

W jakiejś chwili oficer wyszedł na małe wznie-

sienie za sadem i utkwwszy spójrzanie w zachodnią stronę horyzontu, z pod lornetki rzucił półgłosny rozkaz, na który żołnierze wstali i szybkimi, zgrabnymi ruchami zaczęli porządkować, spinać i związać sprzęt, rozłożony przed chwilą.

Na końcu ulicy wioskowej ukazało się teraz kilku bosych, obdartych wyrostków z biczami w rękach, pędzących ze zdyszaniem krzykiem, zdławionym strachem.

Pokazywali na coś za siebie, i oczy wszystkich skierowały się tam.

Daleko, z głębin lasu, wysuwało się coś niepojętego...

Szare, ruchome tysiącem łusek, cielsko olbrzymiego smoka sunęło po drodze, której nie było widać. Tam, gdzie był jej ślad, pełził teraz wąż bez końca, coraz się wydłużający i miękkimi skrętami pożerający przestrzeń.

Nie podobna było uwierzyć, że to się składa z pojedynczych ludzi, tak bardzo robiło wrażenie legendarnej „niestwory“, władającej całym widnokresem; najstraszniejszą była cisza, w jakiej się odbywał przechód tego mrowia, z powodu odległości nie dochodził nawet szelest kroków, i to dopełniało wrażenia nieprawdopodobieństwa i przerażenia.

W głębiach świadomości powstawało pojęcie,

Jubileusz działacza litewskiego.

Naród litewski d. 23 b. m. obchodzi 70-tą rocznicę urodzin jednego z najwybitniejszych swych działaczy, twórcy ruchu odrodzeniowego litewskiego i wybitnego uczonego d-ra Jana Basanowicza.

Dr. Jan Basanowicz urodził się we wsi Ożkabalė, b. gub. Suwalskiej, w r. 1851 *). Po ukończeniu nauk gimnazjalnych ze srebrnym medalem w Marjampolu (1873 r.) wyjeżdża do Moskwy, gdzie wstępuje na wydział historyczno-filologiczny, z którego następnie przechodzi na wydział lekarski. Po skończeniu uniwersytetu (1879) udaje się na zaproszenie rządu bułgarskiego, jako lekarz, na półwysep Bałkański i zwiedza w czasie podróży Wiedeń i Pragę, gdzie oddaje się studjom historycznym i etnograficznym.

W roku 1883 dr. Basanowicz zjeżdża do Tylży i tam zakłada i redaguje słynną „Auszrė“, stanowiącą punkt wyjścia nowoczesnego ruchu narodowego litewskiego.

Okoliczności nie pozwoliły mu dłużej wytrwać na tem stanowisku i zmusiły go do powrotu do Bułgarii, gdzie przebył kilkanaście lat, pracując również na polu naukowym.

Rewolucja rosyjska w roku 1905 pozwoliła stęsknionemu do swej ojczyzny wygnańcowi powrócić wreszcie do rodzinnego kraju, Dr. Basanowicz osiadł na stałe w Wilnie i rozwija tu ożywioną działalność społeczną. Z jego to inicjatywy odbył się w Wilnie w r. 1905 wielki zjazd litewski, który odegrał wybitną rolę w rozwoju ruchu narodowego, formułując określony postulat autonomji Litwy, będący fundamentem obecnych dążeń niepodległościowych.

W r. 1907 dr. Basanowicz założył Litewskie Towarzystwo Naukowe, którego prezesurę dźierży w swem ręku do dziś dnia.

*) Dane biograficzne czerpiemy z artykułu, zamieszczonego w № 59, „Nowin Wileńskich“.

Dziesięć lat temu z powodu 60-tej rocznicy urodzin d-ra Basanowicza „Przegląd Wileński“ zamieścił artykuł, podnoszący zasługi jubilata dla sprawy narodowej litewskiej. Od tej chwili dorobek naukowy zasłużonego prezesa Lit. T-wa Naukowego znacznie się powiększył, działalność zaś polityczną, która w przeszłości miała dla nas pewne momenty drażniące, ustała niemal całkiem. Z tem większą satysfakcją składamy jubilatowi znów swe życzenia dalszej owocnej pracy na pożytek kraju i społeczeństwa.

Z żałobnej karty.

Prof. Ludwik Janowski.

Po krótkich cierpieniach d. 18 b. m. zmarł śp. Ludwik Janowski, jeden z nielicznych profesorów Uniwersytetu Wileńskiego, który przybył tu do nas nie dla kariery i nie w specjalnej misji politycznej, lecz ze szczerego posiaгу do naszego grodu i z umiłowania tradycy j dawnej wszechnicy, której dzieje znał dobrze, jako ich badacz.

I chociaż w zapatrywaniach na rolę i zadania wskrzeszonego uniwersytetu różniliśmy się ze zmarłym, nieraz głęboko, chociaż nie podzielaliśmy Jego poglądów na współczesne stosunki społeczno polityczne, ceniliśmy zawsze w Nim gorące serce i rzadki w dzisiejszych czasach entuzjazm.

Zmarł w sile wieku, bo mając lat 43. Niech mu ziemia lekka będzie!

Z mego notatnika.

Ucieszne widowisko.

Dopóki chodziło o szczucie przeciwko „inorodcom“, w obozie nacjonalistów polskich panowała wrzuszająca jednomyślność. Wszystkie odcienie tego przemożnego kierunku, jako to: „Związek Ludowo-

że to oto idące, sunące, ogarniające, zagarnie lada moment wsię i bory, i zacznie milczkiem pożerać. Nie zdawało się możliwem, aby po przesunięciu się tego smoka z Apokalipsy, mogło coś zostać na ziemi, prócz jałowej, pustki.

Bezelowe ruchy popchnęły gromadę wioskową: to nagłe rzucanie się tu i tam, to powolne wędrowanie przed siebie jak w przepaść lub do grobu, to obejmowanie wzrokiem rodziny i obojścia, to płacz wybuchający ostro, jak strzała rzucona w niebo, wnet stłumiony beznadziejnym, martwym strachem.

Twarze były blade, jakby cała wieś konała, ręce żegnające zroszone śmiertelnym potem czoła, drżały, a bezbarwne wargi plątały słowa pacierzy, przecinając szept błagalny, szcękającemi zębami. Kobiety padały na przyzby chat, zakrywając siebie i dzieci płachtą, jak ptaki na gniazdach, czekające piorunu.

Żołnierze patrzyli na ten widok, pospolity dla nich, z uśmiechem pół drwiącym, pół litośnym.

Znów wrażenie nadludzkiej potęgi wzmogło się w umyśle oficera i rzuciło wzrok jego władczy w koło.

Wszystko było poddane jednemu uczuciu trwogi.

Wtem z za krzewów, powoli, wykolebało się dzieciątko; mały bąk wioskowy, paroletni, w sztywnej od brudu koszulinie, odstającej na wypukłym brzuszku. Szło to chwiejnemi krokami tłustych, zabłoconych

nózek, stawianych z rozmysłem po przez kretowiny i kamienie, bronzowe łapięta trzymały co siły w paluchach jabłko, podziabane drobnemi zębami, włosy lśniące jak blado-żółty jedwab, spadały na oczy jasnobłękitne, jak te wody w dołkach łąkowych, a patrzące z twarzą bladawą, zamysłoną i poważną.

Obojętny na wszystko inne, dzieciak, zahypnotyzowany lśniącym pałaszem oficera, wędrował kiwając się ku niemu, bezsilny i malutki. Gdy był na wysokości jego butów podniósł miękką rączynę i najniespodziewaniej, najśmielej, zaśmiał się chichotem niefrasobliwej radości.

W same oczy zgrozie, potędze, przerażeniu, zaśmiało się malutkie, słabe dziecko tej ziemi...

Wesołe, ufne, „tia, tia, tia“, szczebiot ptaszka wolnego i śpiewającego dla wszystkich, zuchwale przekomarzanie się życia, śpiewało w różowych usteczkach, a wąż łąpina cierpki owoc sadu, nadgryzione jabłuszko, podała zdobywcy.

Nieokreślone, przelotne uczucie niepokoju wionęło przez umysł wojaka, gdy szedł by wsiąść na koń i odjeżdżając obracał się mimowoli.

Myśl jego po raz pierwszy oderwała się od chwili obecnej i uleciała w przyszłość, a obraz jej zmacony został nieuleknionym, pisklęcym szczebiotem...

Narodowy", „Straż Kresowa", „Związek obrony woli ludności" i rozmaite ligi co niedziela urządzały wiece i zebrania, na których zapadały zawsze jednogłośnie patetyczne uchwały o tęsknocie nieszczęsnej Ziemi Wileńskiej do swej macierzy — Polski. O tych wiecach pisało się następnie zgodnie, że gromadziły one tysięczne rzesze, że poziom uświadomienia wiecowników był niezwykle wysoki, a zapal nieopisany i wprost żywiłowy.

Aliści oto, wskutek wystąpienia Naczelnika państwa polskiego, w obozie dotąd jednomyślnym nastąpiło rozdwojenie. Prysła zgoda i akcja wiecowa nagle utraciła swoje dotychczasowe imponujące oblicze.

O wiecu, zwołanym w zeszłą niedzielę przez p. Studnickiego do Sali Miejskiej, pisze „Rzeczpospolita": „Nastrój wiecu przygnębiony, sala niepełna, ale to nie wpłynęło na mówców, którzy pozwolili sobie wprost na kpiny, licząc widocznie na krótką pamięć i na łatwowierność publiczności wileńskiej".

Ze publiczność wileńska jest łatwowierna i że wogóle się nie orientuje absolutnie w zagadnieniach politycznych, nie jest to żadną tajemnicą, cennem jest tylko stwierdzenie tego faktu przez pismo, które wciąż właśnie powołuje się na rzekomo głęboko ugruntowaną i uświadomioną wolę ludności!

Jeszcze bardziej nędznie wypadł według tejże „Rzeczpospolitej", kongres „Polskiego Stronnictwa Ludowego", który uświetnił swoją obecnością były premier Witos. Kiedy w końcu, po przemówieniach, zaproponowano od stołu przydyjnego, aby nieczłonkowie stronnictwa wyszli z teatru, i goście, ciekawci ujrzenia i usłyszenia b. prezydenta ministrów, ruszyli gremjalnie ku wyjściu, w dużym gmachu teatru pozostało 17 członków stronnictwa ludowego.

Jeżeli więc drobnomieszczaństwo wileńskie jest ciemnym tłumem, uchwalającym bezkrytycznie wszystko, co mu podsunie ta lub inna demagogja, lud zaś wileński wogóle nie jest zorganizowany, to na jakiej podstawie się opiera przeświadczenie o rzekomo wyraźnej i solidarnej woli ludności Wileńszczyzny, na co się oddawna powołują endecy, a od niedawna i federaliści?

Czyżby tylko na deklaracjach wileńskiej Rady Miejskiej i Sejmiku Wileńskiego?

Charakterystyczna próba.

Do czego prowadzi modny obecnie w Wilnie kurs ultra-nacjonalistyczny, świadczy o tem najlepiej historia z dr. Legiejką.

Dr. Legiejko jest jednym z nielicznych Litwinów, którzy zajmują w Wilnie stanowisko publiczne: jest on miejskim lekarzem sanitarnym.

W tym charakterze odwiedził on mleczarnię Hejbera, i znajdując ją w stanie, nie licującym z wymaganiami higieny, spisał odpowiedni protokół.

Właściciel mleczarni mszcząc się udaje się do redakcji „Gazety Wileńskiej", gdzie podaje siebie jako ofiarę prześladowania szowinisty litewskiego, a redakcja nie sprawdzając podanych przez rzekoma ofiarę faktów, drukuje piorunujący artykuł pod prowokacyjnym tytułem: „Szykany Litwina w polskim Wilnie", domagając się usunięcia d-ra Legiejki z zajmowanego przezeń stanowiska.

Jak było do przewidzenia, posądzenie d-ra Legiejki o spisywanie protokołu z pobudek politycznych, nie miało żadnych podstaw faktycznych, prócz kłamliwego zeznania właściciela mleczarni, co zostało stwierdzone w drodze urzędowej, ale jeszcze jedna paląca się głownia do płonącego stosu namiętności

narodowościowych, lekkomyślnie, a może i rozmyślnie przez organ „Straży Kresowej" została do rzucona.

Jak zaś skutkują podobne prowokacyjne artykuły, dowodem zerwanie tabliczki na drzwiach d-ra Legiejki przez nieznaną „patriotów".

Jedyną pociechą w tych smutnych czasach jest fakt, że jednak są w społeczeństwie naszym jednostki, które uważają za swój obowiązek piętnowanie tego rodzaju metod.

W „Gazecie Krajowej" ukazał się protest zbiorowy lekarzy sanitarnych przeciwko wystąpieniu „Gazety Wileńskiej", pod którym lekarz naczelny miasta Wilna, dr. Minkiewicz, dopisał następujące charakterystyczne oświadczenie: „Kładąc podpis mój pod niniejszym protestem zaznaczę muszę, że wszelkie próby skierowania spraw sanitarnych na drogę polityczną celu nie osiągną, i że nawet zarzut zdrady stanu nie powstrzyma zwalczania niechlujstwa i brudu, chociażby zaprawionego pseudo-patriotyzmem!"

Wymowny komentarz do naszych stosunków.

Poludnie czy zachód?

Wileńskie Towarzystwo Artystów Plastyków wydało pierwszy numer swego miesięcznika p. t. „Poludnie". Na treść zeszytu złożyły się prace prof. Tarkiewicza o Wileńskiej Szkole Malarstwa, prof. Kłosa o żywotności inwencji w architekturze Wilna, szereg drobniejszych utworów prozą i poezją oraz kilkanaście reprodukcji dzieł dawnych i obecnych malarzy wileńskich.

W słowie wstępnem młodzi artyści piszą: „Serce zrosnięte z bohaterską i wzniosłą sztuką lat minionych bierzemy z niej nieśmiertelny, jedyny w świecie żar, potężne, buntownicze tchnienie. Wierne przechowując w pamięci jej przykazania, wielkim tradycjom powolni, sami wszelako idziemy naprzód. Urzeka nas i nęci życia współczesnego bujność i stubarwność, zmagających się i krzyżujących prądów moc kipiąca. Z wirów tych — z chaosu życia nowoczesnego artysta — nurek, głębin nawiedzacz i badacz wynieść musi dzieło swoje. Dzieło nie przypadkowe, jednodniowe i sieroce, ale twór dojrzały i krzepki, w błysku natchnienia poczęty a pracą męczeńską wyczelowany i wyrzeźbiony. W ujarzmianiu żywiołu, w opanowywaniu opornego materiału, w zmaganiu się z samym sobą hartuje się i męźniej artysta, a dzieło jego zyskuje dźwięk pełny szlachetnego kruszcu. Takich to twórców w Polsce oczekujemy"...

Bardzo pięknie. Ale czy takich twórców może dać Wilno? Sztuka, aby być pełną i żywotną musi być przede wszystkim szczerą. Artysta zaś, który tworząc w Wilnie będzie szukał natchnienia w „bujnem, stubarwnem" życiu Polski współczesnej — nie będzie szczerzy, a jeżeli będzie czerpał natchnienia z szarego, smętnego życia naszego, to nie będzie sztuka polska. Bo prawdziwa sztuka wyrasta na rodzimej glebie i stamtąd czerpie ożywcze soki. Twórczość narodowa musi mieć twarde i mocne podłoże, by mogła wydać plon obfity i mieć ten ton czysty i potężny, jaki znamionuje dzieła nie przypadkowe, lecz „dojrzałe i krzepkie", czego chcą również redaktorzy „Poludnia".

Cokolwiekby się dało powiedzieć o naszym ludzie, o jego orientacjach i poglądach społeczno-politycznych, nie ulega wątpliwości, że lud ten polskim rdzeniem nie jest. Jego zwyczaj, jego język, jego usposobienie, jego psychika nie są polskie.

Krajobraz nasz — to nie jest także krajobraz polski. A to są wszakże dwa zasadnicze pierwiastki, nadające piętno narodowe twórczości artystycznej. I dlatego wydają się mi płonne wszelkie wysiłki zmierzające do przeszczerpienia na grunt litewsko-białoruski sztuki polskiej.

Chociażby artysta był narodowości polskiej, chociażby tworzył w języku polskim, jeżeli się tylko zanurzy głęboko, jeżeli dotrze do dna, a nie będzie pływał po powierzchni, to stworzy dzieło swoiste, odrębne, które polskiem z ducha nie będzie.

I wydaje mi się, że to, o czym myśli Wileńskie Towarzystwo Artystów Plastyków nie będzie południem sztuki, ale jej zachodem, bladym odbłaskiem czasów minionych lub dalekich promieni, które rzuca potężnie jaśniejące słońce sztuki polskiej.

Tu w Wilnie — do południa jeszcze daleko, jeszcze nawet na świt się nie zanoszą.

Doktrynerizm.

„Białoruski Zwon” cytując artykuł wstępny z № 1 naszego pisma zaopatruje końcowy jego ustęp, w którym jest mowa o profanowaniu hasła „wolni z wolnymi, równi z równymi”, następującą uwagą: „Naszem zdaniem — okres szlachecki już dawno minął, razem z nim pogrzebane zostały i wszystkie hasła szlacheckie, które oczywiście pozostaną ozdobą polskich archiwów”.

Niewątpliwie okres rządów szlacheckich już się zakończył, nie tylko zresztą u nas, ale i na całym świecie. Czyż jednak wszystko, co stworzyła szlachta, zeszło razem z jej panowaniem do grobu? *Habeas corpus* stworzyła szlachta angielska, ale jest ono do dziś dnia podstawą demokratycznego ustroju Anglii. Pojęcia o honorze i wierności danemu słowu, wytworzone przez rycerstwo średniowieczne, weszły w krew nowoczesnej cywilizacji. I czyż nie szlachta właśnie przekazała nam tradycję odrębności i samodzielnosci W. Ks. Litewskiego? Ażali nie szlachta położyła podwaliny kultury narodowej białoruskiej i litewskiej?

Czyż nie wszystko jedno jakiego pochodzenia jest dane pojęcie czy hasło? Chodzi o to, czy jest ono piękne, słuszne i godne szacunku; czy jest ono wreszcie zgodne ze współczesnymi wyobrażeniami o równości. Tylko w Rosji bolszewickiej sądy inaczej kwalifikują przestępstwo popełnione przez osoby pochodzenia burżuazyjnego a inaczej przez osoby pochodzenia proletariackiego.

W ustroju demokratycznym pochodzenie żadnej roli nie gra. Pochodzenie szlacheckie nie daje żadnych przywilejów, ale też i nie odbiera praw. Czyżby w dziedzinie ideologii miało być inaczej?

Wilno — Gniezno.

Pisma warszawskie donoszą, że po uchwaleniu przez Sejm znanej rezolucji o wyłączeniu powiatów Lidzkiego i Braślawskiego posłowie endeccy zaaranżowali szopkę demonstracyjną, przyczem jakiś ksiądz z Poznańskiego zaintonował donośnym głosem: „Nie damy Wilna skąd nasz ród”, a cała prawica chórem odśpiewała zmodyfikowaną ad hoc Rotę.

Nikt nie zainterpelował demonstrantów, od kiedy to Wilno stało się kolebką rodów Kotulów czy innych Dudów. Nikomu nie przyszło do głowy powstrzymać wylew wezbranej wściekłości endeckiej prostym zapytaniem: czyżby cała reprezentacja narodu polskiego było pochodzenia litewsko-białoruskiego? Wprawdzie wśród śpiewających tę absur-

dalną zwrotkę znalazło się dwóch niewątpliwych Wilnian: ks. Maciejewicz i p. Zmitrowicz, ale rzecz charakterystyczna, że nie oni to demonstrowali swe pochodzenie wileńskie, lecz właśnie posłowie poznańscy, którzy nigdy bodaj nawet Wilna na oczy swe nie widzieli. A może w prostocie ducha przypuszczali oni, że gród Gedyminowy został założony przez jednego z potomków tego Popieła, którego zjadły myszy?

Jak aneksja, to aneksja w całej rozciągłości
Lic.

Pro domo sua.

„Gazeta Warszawska”, a za nią i „Rzeczpospolita” z żywą radością przedrukowały ustęp z artykułu, zamieszczonego w „Głosie Lubelskim” przez p. Tadeusza Ciświckiego, który brzmi jak następuje:

„Tak zwani „federaliści” są w rzeczywistości separatystami. Z własnych ust jednego z przywódców Ludwika Abramowicza usłyszałem swego czasu następujące określenie jego programu: „Niepodzielna Litwa pod berłem Hohenzollerna”.

I czego tu się cieszyć? Nie tylko nie jestem przywódcą t. zw. federalistów, ale wogóle nie należę do tego obozu, czego najlepszym dowodem jest redagowany przezemnie „Przeгляд Wileński”, różniący się zasadniczo od „Gazety Krajowej” organu federalistów. Dyskredytowanie więc w oczach społeczeństwa polskiego mojej osoby nie może w niczem zaszkodzić opinii federalistów, którzy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za moje poglądy.

Co się tedy zaś przypisywanych mi przez p. Ciświckiego sympatyj względem Hohenzollernów, to nikt na serjo ich nie będzie traktował, kto zna mnie i p. Ciświckiego. Tym zaś, którzy osobiście nie stykali się z p. Ciświckim, czuję się w obowiązku wyjaśnić, że działacz ten lubelski, propagujący swego czasu z manjackim uporem kandydaturę arc. Karola Stefana z Żywca na tron polski, tak wszystkich zanudzał swemi kombinacjami politycznymi, że uciekano się do wszystkich sposobów, byle uniknąć jałowej dyskusji.

By więc zabezpieczyć się raz na zawsze przed elokwencją p. Ciświckiego, wyraziłem się kiedyś wobec niego, że trzeba być konsekwentnym i przygotowanym na to, że Niemcy zgodzą się na uwieńczenie koroną polską Habsburga tylko w tym wypadku, o ile dynastia Hohenzollernów otrzyma tron litewski. To zdaje się poskutkowało: od tego czasu p. Ciświcki spoglądał na mnie z ukosa i nie wszczynał już ze mną rozmów politycznych.

Ze obecnie p. Ciświcki przypomniał sobie ten epizod i podał go druku na szpaltach prowincjonalnego piśmka, w tem niema nic dziwnego. Zdumiewajacem jest natomiast spożytkowywanie tak błahych szczegółów przez wielkie organy warszawskie.

Ludwik Abramowicz.

Przesada.

(Z teki badacza przeszłości).

Kto, strząsając kurz ze starych foljałów i fascykulów, nie zadawał sobie, podczas pracy w archiwach i bibliotekach, pytania, jakby wyglądało to życie dawne w naszym kraju, jeśliby jakaś siła nadziemską mogła je wskrzesić?! Ponieważ kocham stare gmachy i są one dla mnie żywymi a wymownymi świadkami przeszłości, starałem się zwykle odtworzyć proces ich powstawania, od uroczystych zakładzin kamie-

nia węgielnego do chwili oddania nowej budowy właściwemu jej przeznaczeniu. Zwracała zwykle przytem moją uwagę okoliczność, że wśród skarbów archiwalnych, bibliotecznych, *nie* widać nigdzie planów („abrysów“) dawnych kościołów, chociaż w swoim czasie musiały one istnieć zarówno jak i zawierane przy budowie („fabryce“) kontrakty oraz rachunki wszelkie.

Tylko w archiwum przy klasztorze S. S. Nazaretanek w Grodnie, udało mi się znaleźć rachunki, pozostałe od czasu wzniesienia tamecznego kościoła w r. 1642, pod wezwaniem Zwiastowania N. M. P. I one to rzuciły nieco światła na proces budowy A mianowicie:

roboty snycerskie wykonał w r. 1647 Hans Hilbrant;

cegły dostarczał w tymże 1647 r. Majer Markiewicz (żyd z Grodna);

roboty ciesielskie wykonał w roku 1642 Hans Wegner, cieśla z Wilna, tytułujący się „Magistrem JKMości“;

epitafium fundatorskie miał wystawić w roku 1648 „kamiennik“ Konrad Walter, mieszczanin gdański, i towarzysz jego, Piotr Hebner;

organy budował w r. 1647 „Orgelbauer“ Martin Friese;

ołtarze malował w r. 1647 malarz Jakób z Tykocina;

obrazy malował w r. 1646 Johann Schrötter, „Mahler“, mieszczanin wileński;

ołtarze stawiał w r. 1646 Georg Zehl, stolarz i mieszczanin grodzieński;

wiązanie dachu robił w r. 1647 Melchior Szmit, cieśla.

Z brzmienia tych nazwisk należy wnioskować że, w pierwszej połowie XVII wieku jeszcze bardzo słabym musiał być u nas stan rzeźni wśród ludności autochtonicznej, skoro Niemcy, osiedli w kraju, tak celowali w różnych kunsztach, iż posługiwano się nimi przy budowie niemal wyłącznie. Jeśli mowa o krajowych odmianach stylów tak budownictwa, jak zdobnictwa, to słusznie należy przypuszczać, że one również były krzewione pracą tychże Niemców, dostosowujących się w swym fachu do pewnych tradycji miejscowego budownictwa, do terenu, materiału, klimatu, tła okolicznego, wreszcie do artystycznego gustu fundatorów, którzy, jak w naszym kraju, byli przeważnie wielmożami ze starych rodów litewskich i białoruskich.

Łatwo tedy stwierdzić, ile grubej przesady się kryje w twierdzeniu szowinistów polskich, że kościoły i pałace w naszym kraju są dziełem wyłącznym rąk polskich, o czem ma rzekomo wołać na świat cały każda cegła nawet. Prawdziwe to szczęście dla endeków, że do największych rzadkości należą u nas dokumenty, dotyczące dziejów stawiania kościołów i pałaców i dlatego mogą oni przeinaczać prawdę historyczną. Kultura polska jednak stroić się w pawie pióra nie potrzebuje chcąc utrwalić należne sobie na świecie i w kraju naszym stanowisko. O.

Z Towarzystwa Prawniczego im. Ign. Daniłowicza.

Dnia 6 bieżącego listopada wobec licznie zgromadzonych członków Towarzystwa i gości wygłosili

p.p. profesor Bossowski i sędzia Maliński referaty „O ustawodawstwie Litwy Środkowej“.

Pierwszy rozstrząsał kwestję, czy Litwa Środkowa jest państwem osobnem? i kwestję tę rozstrzygnął twierdząco, powołując się przytem, najzupełniej niefortunnie, na analogję z takimi państwami, jak Andorra, Monaco i Lichtenstein. Tymczasem mikroskopijna republika Andorska istnieje od IX wieku, jako lenna w stosunku do biskupa Urguel w Hiszpanji i państwa francuskiego Obydwaj suzereni mianują sędziów i pobierają daninę roczną; pozatem państewko to jest zupełnie wolne i delegat francuski do spraw jej nie miesza się wcale. W Monaco władza absolutna od X wieku należy do księcia, który jednak od XV wieku znajduje się pod protektoratem najprzód Hiszpanji, potem Francji, Sardynji, a od czasu przyłączenia Nicei do Francji znowuż pod protektoratem tej ostatniej, stosunek do której jest ustalony w osobnych traktatach. Księstwo Lichtenstejskie jest na mocy konstytucji z r. 1866 państwem całkowicie udzielnem, podlega jedynie (ze względów oszczędnościowych) Sądowi apelacyjnemu w Innsbruku, na mocy traktatu z Austrią, który też oddał Austrii administrację poczt. Jak widzimy ustrój wszystkich tych państewek nie ma żadnej analogji ze stanowiskiem prawnopolitycznem Litwy Środkowej. Jeżeli p. profesorowi chodziło koniecznie o analogję, to mógł ją znaleźć najzupełniejszą w księstwie Waldeckiem; tam książę udzielny, równorzędny innym członek Rzeszy Niemieckiej oddał całkowitą administrację państewka państwu pruskiemu (Accessionsvertrag 1867 r.). Państwo pruskie finansuje administrację, a delegat rządu pruskiego ma głos stanowczy i mianuje urzędników miejscowych. Co zaś do sposobu powstania władzy w Litwie Środkowej, to takowy najzupełniej odpowiada dobrze znanym naucz. prawa państwowego pod mianem „pronunciamento“ czynom politycznym, przez które władze wojskowe obejmowały zwierzchnią władzę polityczną.

Drugi referent, p. sędzia Maliński, postawił sobie za zadanie sprawdzić, czy wszystkie rozporządzenia Tymczasowej Komisji Rządzącej oparte były na podstawie „legalnej“, t. j. na uprawnieniach nadanych jej przez jedynego posiadacza władzy zwierzchniej w Litwie Środkowej, Naczelnego Dowódcę wojsk. Uprawnienia te zawierają się jedynie w dwu dekretach, № 9 i 10, z dnia 28 października 1920 r. Pierwszy z nich, zdaniem referenta, zachowując władzę ustawodawczą dla Naczelnego Dowódcy, uprawnia Komisję Rządzącą do wydawania rozporządzeń w przedmiocie rozwinięcia, wprowadzenia w życie i wykonania dekretów. Dekret zaś № 10 nadaje Komisji na czas trwania wojny prawo wydawania rozporządzeń z zagrożeniem karą do stu tysięcy mk. grzywny i do jednego roku aresztu, w przedmiotach, szczegółowo w tym dekrecie wyliczonych, z tem ograniczeniem, że rozporządzenia, regulujące stosunki ekonomiczno-społeczne mogą być wydawane na okres czasu, nie dłuższy ponad trzy miesiące. Otoż, w nader rozwickłym, bo przeszło 2½ godziny trwającym i zupełnie nieusystematyzowanym wykładzie referent wyliczył przeszło czterdzieści rozporządzeń, w których Komisja Rządząca przekroczyła dane jej uprawnienia i przejęła atrybucje nieprzynależnej jej władzy ustawodawczej. Dalej prelegent znajduje, iż uprawnienia z dekretu № 10 przestały istnieć przynajmniej od marca r. b., to jest od czasu ustania wojny, uprawnienie zaś do rozporządzeń w sprawach ekonomiczno-społecznych już wygasło po upływie trzymiesięcznego terminu. Wobec powyższych

defektów sądy, zdaniem prelegenta, nie powinny, przy rozpoznawaniu spraw poszczególnych stosować zakwestjonowanych rozporządzeń, jako nie mających mocy prawnej. Powyższe wywody noszą charakter całkowicie akademicki, albowiem przy ustroju władzy monokratycznym nader trudno przeprowadzić granicę pomiędzy aktami ustawodawczymi, oraz rozporządzeniami wykonawczymi. Przyznają to statyscy rosyjscy przy badaniu aktów władz centralnych Rosji z daty przedkonstytucyjnej, a ustalanie przez nich różnic aktów ustawodawczych i aktów wykonawczych (w porządku uprawnień) ma charakter raczej scholastyczny.

Przy istnieniu władzy monokratycznej i braku ustawodawczego określenia zakresu, sposobu wydawania i formy aktów ustawodawczych nie jest wykluczone wydawanie rozporządzeń, nawet o charakterze ustawodawczym na mocy uprawnień słownych. W danym wypadku o wszystkich zakwestjonowanych rozporządzeniach wiedział Naczelnny Dowódca, a probował je tacito consensu i nawet powoływał się na nie w swoich dekretach późniejszych (np. na rozporządzenie № 16 w dekretach № 180 i 288), to też prelegent postawił w końcu tylko taki wniosek: należy przez dekret zatwierdzić, lub cofnąć zakwestjonowane rozporządzenia i wydać nowe uprawnienia dla przyszłych rozporządzeń. Nascitur ridiculus mus..., a szkoda, bo 43 numery „Dziennika Urzędowego” dają bogaty materiał dla krytyki „ustawodawstwa Litwy Środkowej” pod względem celowości, zgodności z powszechnie przyjętymi zasadami prawa, oraz techniki redakcyjnej, tego jednak nie mógł uczynić prelegent, gdyż zastrzegł się wielokrotnie, że cytowane rozporządzenia uważa za celowe i słuszne.

W dyskusji, która się wywiązała po zakończeniu referatu wzięli udział: b. prezes Komisji Rządzącej P. W. Abramowicz, b. jej członkowie p.p. Engel i Achmatowicz, b. jej sekretarz p. Miedzianowski, prezes Sądu apelacyjnego p. Sumorok, prokurator tegoż Sądu p. Świrtn, pisarz hipoteczny p. Wirszylło, oraz mecenas p. Krzyżanowski.

P. Engel zauważył, że upoważnienia wydane na czas wojny, trwają dotychczas, a data 17 marca niema znaczenia, albowiem Litwa Środkowa była w stanie wojny nie z Rosją Sowiecką, ale z Litwą Kowieńską, a ten stan trwa dotychczas, albowiem 1 grudnia 1920 r. nastąpił tylko rozejm pomiędzy tem państwem a Polską i warunki tego rozejmu uznał generał Żeligowski. P. Miedzianowski zwrócił uwagę na brak instrukcji do zażarżenia rozporządzeń Komisji Rządzącej; dyrektorowie departamentów czytają jedynie nagłówki dekretów, nie studjując ich treści; rozporządzenia są wydawane częstokroć wbrew opinii prawników. P. Wirszylło oponuje przeciw opinii p. Malińskiego, że Ustawa Hipoteczna została ulegalizowana dopiero przez generała Żeligowskiego, przeciwnie rozporządzenie Komisarza Generalnego w tym względzie było najzupełniej legalne. P. Sumorok zaś uważa, że Komisarz Generalny ogłosił tę Ustawę wbrew przepisom konwencji Haskiej i prze-

kroczył udzielone mu przez Naczelnika Państwa uprawnienia. P. W. Abramowicz wniósł poprawkę co do uwagi p. Malińskiego o trzymiesięcznym terminie dla wydawania rozporządzeń na mocy dekretu № 10 i wyjaśnił, że termin ten wyznaczony został dla poszczególnych rozporządzeń, o ile nie będą przez nowe rozporządzenia wznowione, — nie zaś jako termin dla wydawania podobnych rozporządzeń.

W końcu wreszcie mecenas Krzyżanowski całkiem słusznie zwrócił uwagę zebrania, że protestowanie przeciwko wykróceniom formalnym przy wydawaniu rozporządzeń przez Komisję Rządzącą nie jest wcale „Kampf um Recht”, jak to nazwał p. Maliński, o prawo bowiem walczy lud, tutaj zaś ma miejsce sprawa sporna o rozdział kompetencji pomiędzy Naczelnym Dowódcą i Komisją Rządzącą, która ta sprawa nie obchodzi ludność wcale, dla niej bowiem jest ważną treść, a nie forma rozporządzeń. K.

Bibliografja.

Reformacja w Polsce. Kwartalnik № 2 (Warszawa 1921). Dawno odczuwała się potrzeba stworzenia takiego organu, któryby z całym obiektywizmem naukowym rozpoczął sowingie się opłacające badania dziejów Reformacji w Polsce. Cześć zrealizowania tego zamierzenia przypada p. Stanisławowi Kotowi, prof. Uniw. Jagiell. Pozyskane zostały siły pierwszorzędne (Brückner, Fijałek, Sobieski i in.). Ewangelicy i katolicy zgodnie stanęli do współpracy. Obóz katolicki reprezentuje w tem gronie ks. Jan Fijałek, prof. Uniw. Jagiell. Każdy numer się składa z trzech części: szereg prac, przegląd literatury i kronika. Nr 2-gi zawiera między innymi ciekawy przyczynek do dziejów reformacji w Litwie pt. *Jan Tartyłowicz-Batocki, pierwszy ewangelik na Żmudzi* pióra ks. J. Fijałka. W kronice znajdujemy ciekawą notatkę p. M. Brensztejna o „Towarzystwie im. Jana Łaskiego w Wilnie”, które tu powstało w r. 1916 dzięki inicjatywie ks. dr. Konstantego Kurnatowskiego z Kielm na Żmudzi, który czasu okupacji niemieckiej spędził kilka lat wśród nas. Od połowy 1918 r., wskutek wyjazdu ks. dr. K., towarzystwo pozostaje w letargu.

Wschód Polski. 1921. № 1—3. Ten potrójny № miesięcznika politycznego przynosi szereg artykułów o zagadnieniach aktualnych dla naszego kraju. Acz wydawany przez znaną „Straż Kresową”, pismo to umie utrzymać treść swych artykułów na poziomie daleko wyższym niż ten, jaki przywykliśmy w ciągu roku spotykać na szpaltach „Gazety Wileńskiej”, należącej przecie do tegoż gniazda. Trwałą wartość mieć będą artykuły prof. Henryka Mościckiego „Wysiedlenie szlachty polskiej z Litwy i Rusi przez rząd rosyjski” (rzecz opracowana źródłowo) i Sal-skiego „Sztuka i kultura polska na Litwie i Rusi” (obszerne sprawozdanie z odnośnej wystawy w Warszawie).

Treść numeru:

Sejm Wileński. — Perspektywy wyborcze. — *Wat.* Zadania publicystyki polskiej w Wilnie. — *Jadźwing.* Wątpliwy sukces — *Sonderling.* Większość i mniejszość. — Jubileusz działacza litewskiego. — Z żałobnej karty. — *Licz.* Z mego notatnika. — *L. Abramowicz.* Pro domo sua. — *O.* Przesada. — *K.* Z Towarzystwa prawniczego im. Ign. Daniłowicza. — Bibliografja. Odcinek: *Romer-Ochenkowska.* A ono powiedziało swoje.